

Do Gdańska wracały ze mną pieniądze, które mozolnie zbierałem przez cały rok. Nie było tego wiele. Nie wiedziałem, czy starczą na jakiś dłuższy wyjazd, więc wymyśliłem wycieczki, oczywiście we dwoje. W czasie egzaminów mieszkałem w akademiku, z którego, jak mnie jeszcze w Gdańsku poinformowali jacyś chłopcy, podobno wolno było korzystać przez cały miesiąc, wymarzyłem więc sobie, że mając zapewnioną bazę noclegową, mógłbym gdzieś z Ewą wyjechać – trochę tu, trochę tam, może w Jurę, może do Zakopanego. W dotychczasowym życiu nie miałem okazji zobaczyć gór, a okolice Krakowa przecież też są piękne – wybielone skały, kikuty zamków, jaskinie.

Wszystkie hołubione marzenia diabli wzięli, gdy usłyszałem, że ona jedzie z rodzicami podziwiać zabytkowe tężnie solankowe. Ewa, ta anielska Ewa, miała stalowy charakter. Nie wiem, jak to robiła, ale z wielu znanych mi osób była jedyną, której słowa nie podlegały odwołaniu. Miała cały wachlarz zachowań, gestów i spojrzeń. Była ciepła i miła, była dowcipna, lubiła się droczyć, lubiła plotkować, ale pojawiały się sytuacje, w których stawało się ważne wyłącznie jej zdanie i wtedy, mówiąc cichutko i miękko, bywała nadzwyczaj stanowcza. Tak właśnie stało się tym razem.

Nie ulega wątpliwości, rozżłościła mnie. Nie lubię, gdy ktoś unicestwia me zamiary. I nie ważne było to, że o wycieczkach powinienem powiedzieć wcześniej, uzgodnić pomysł, rozżłościła mnie świadomość, że nie mogę nawet podjąć rozmowy, bo jej „spotkamy się po wakacjach” zamykało sprawę.

W życiu niemal wszystko uzyskiwałem osobistym urokiem, magią uśmiechu i miłego słowa, a wtedy zrozumiałem, że moja dziewczyna będzie na to odporna. To był powód, dla którego rozważałem zerwanie. Potrzeba pogodzenia się z niewygodnym faktem jeszcze długo była przyczyną z trudem ukrywanego rozdrażnienia i złego samopoczucia.

Pamiętam, że ponownie poszedłem po coś do kuchni. Przy okazji zjadłem suchą kromkę i umyłem leżące na stole owoce. Wróciłem na fotel. Gryząc jabłka, uświadomiłem sobie, że nigdy nie zapytałem Leszka, dlaczego czekał na mnie na dworcu. Przecież to nie było konieczne. W domu też niepotrzebnie zrobili jakieś przyjęcie, obiad jak na święta, gratulacje, a od ojca dostałem zegarek, który wtedy nie miał dla mnie żadnej, poza praktyczną, wartości.

Nie wiem, dlaczego wyjąłem z szuflady stary, ze zniszczonym skórzanym paskiem zegarek. Patrząc na niego, powiedziałem tak naturalnie, jakby brat stał obok: – Czy wiesz, że wciąż go mam? – I dodałem: – Popatrz, poznajesz tę godzinę? Sądzę, że nie tylko ja, że nikt z nas o niej nie zapomni, ty także.

Z zamyslenia wyträcił mnie dźwięk nasłuchanego zegara. Fotel, deszcz, coraz głębiej docierający fakt śmierci Leszka spowodowały

zaskakującą reakcją. Zaczęło się od naturalnych wspomnień, początkowo niewinnych refleksji, później doszło do surrealistycznych rozmów z nieżyjącym bratem, lecz z każdą godziną następowało przekształcanie rozmyślań w poszukiwanie siebie. Jak po operacji plastycznej, nieśmiało spoglądałem sobie w twarz, powoli odsłaniałem własną duszę i stawałem oko w oko z pytaniami, na które nie znałem odpowiedzi.

Leszek przyjechał do Krakowa nie w porę. Z racji kłopotów z sesją miałem nieprzespaną noc, a nadto byłem umówiony z Ewą, dla której jego obecność stała się jedynie powodem zmiany miejsca i godziny spotkania. – Przyjdźcie o trzeciej do Michalika, bo z pewnością będziecie chciały pokazać bratu tę kawiarę – powiedziała i natychmiast odłożyła słuchawkę, więc dyskusji nie było.

Ona przyszła wcześniej. Gdy stanęliśmy przy stoliku, rozmawiała z siedzącą za plecami koleżanką. Zwrócona w jej stronę, nie zauważyła nas, a gdy spojrzała, sprawiła wrażenie czymś zaskoczonej, ponieważ przez dobrą chwilę milczała i przenosiła wzrok z jednego na drugiego.

– O co chodzi, o nasze podobieństwo? – zapytałem lekko poirytowany jej spojrzeniami. – Nie jesteś pierwszą osobą, która to zauważyła.

Ewa, przyglądając się uważnie Leszkowi, przywitała go cichym głosem. Zazwyczaj pogodna i rozmowna, tym razem jakby przysłała. Zachowywała się inaczej. Zadała kilka banalnych pytań, a gdy dosiedli się do nas koledzy, wpadający tu często na pogaduszki przy kawie, zamilkła i zamyślona, wręcz nieobecna wpatrywała się w blat stolika. Niespodziewanie poprosiła o taksówkę. Powiedziała, że niezbyt dobrze się czuje i musi wrócić do domu. Pożegnała Leszka, życząc mu dużo szczęścia i pomyślności w realizacji zamierzeń. Odchodząc, wyglądała źle, lecz mimo to nie pozwoliła się odwieźć. – Masz gościa, zajmij się gościem – upomniała mnie.

Czas pozbawiony codziennego kontaktu bardzo nas od siebie oddalił. Wprawdzie nigdy nie byliśmy sobie zbyt bliscy, jednak tego dnia rozmowa rwała się w sposób szczególny. Uznałem, że należymy już do innych światów, więc nie mamy o czym rozmawiać. Milczenie, częste w trakcie tego pobytu, w ciszy pokoju raziło, ale rozgrzeszyłem siebie zmęczeniem, bo do akademika wróciliśmy późnym wieczorem. Już ogarniał mnie sen, gdy Leszek niespodziewanie zapytał:

– Stefan, czy Ewa to coś poważnego?

– Jest moją dziewczyną. A o co chodzi? – mruknąłem.

Więcej pytań nie zadawał, ale ja przy okazji chciałem ustalić, do kiedy zamierza zostać w Krakowie. – Do jutra – rzucił bez najmniejszego zastanowienia i to był koniec rozmowy. Z rana uznał, że nie trzeba go odprowadzać, bo drogę na dworzec zapamiętał. „Pójdę z

tobą” niczego nie zmieniło. Przyjąłem jego pomysł z ulgą. Przed wyjściem coś Leszka zatrzymało. Zawrócił, podszedł do stołu i po krótkim namyśle położył na nim kopertę. – Nie wyrzucić, w niej są pieniądze – poinformował mnie. – Nie wyrzucić. A rodzicom podziękuj – poprosiłem. Leszek, będąc już w drzwiach, zatrzymał się po raz drugi. – Przykro mi, ale od nich nic dla ciebie przywozłem – rzekł i szybkim krokiem ruszył w głąb korytarza.

Ślub braliśmy w październiku i już pierwsze zdjęcie przywołało wyjątkowy jak na jesień, rozświetlony słońcem dzień, wzruszenie towarzyszące mi od wczesnego ranka, a także przywróciło dalsze wspomnienia, których ani czas, ani późniejsze wydarzenia nie potrafiły wymazać z pamięci.

Uroczystość w każdym szczególe była realizacją pomysłu Ewy. To ona wymyśliła nasze stroje, kwiaty, zamówiła fotografa i przyjęcie weselne dla niewielu osób, ale w osławionym Wierzyńku. Przed kościołem czekało mnóstwo kolegów ustawionych w szpaler i grała jakaś przygodna orkiestra. Wewnątrz, w ławkach siedzieli znajomi, ale także obcy ludzie, ci, co przyszli ze zwykłej ciekawości, ponieważ rozesłała się pogłoska, że stanowimy niebrzydłą parę.

Byłem wtedy szczęśliwy. Prowadziłem do ołtarza dziewczynę, której wszyscy mi zazdrościli, zostałem zięciem profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego i wprost po przyjęciu weselnym wprowadzałem się do wspaniałej willi, gdzie czekało na mnie z Ewą całe piętro. Jednego elementu towarzyszącego takim uroczystościom w naszym wypadku nie było – podróży poślubnej. Nie mieliśmy jej w planie. Taka była decyzja Ewy, a ja musiałem ją uszanować, ponieważ wszystko, co wiązało się ze ślubem, opłacali jej rodzice.

Album – zdjęcia. Pełno zdjęć dużych i małych, wyłącznie z nami w roli głównej. Byliśmy tacy młodzi, pełni szczęścia, roześmiani i kolorowi, bo zdjęcia mimo upływu czasu nieźle zachowały barwy. Ujęcie w drodze, poważne twarze przed ołtarzem, para krocząca po czerwonym dywanie oraz para witana przez przyjaciół. I znów zdjęcia – z profilu i en face, z kwiatami i bez kwiatów, Ewa przytulona do mnie i utopiona w koronkach, wstążkach, muślinach. Ewa – najpiękniejsza kobieta, jaką w swoim życiu spotkałem, ta, którą wskazał mi Leszek.

Każda lawina spowodowana drobnym kamieniem znajduje w dolinie swój kres, gdy tymczasem jedno ze zdjęć, znajdujących się w albumie, nieoczekiwanie wywołało szereg pytań, z których każde rodzi następne, a szansy na uzyskanie odpowiedzi nie ma.

Przerzuciłem kilka stron i znalazłem je. Wydawało się być nie na miejscu wśród pozostałych, roześmianych i kolorowych – weselnych.

cdn.